



krótko

Odnówmy nasz chrzest

ARCHIDIECEZJA. Na Nowy Rok abp Wiktor Skworec skierował do wiernych słowo, w którym między innymi zachęcił, aby w Niedzielę Chrztu Pańskiego wierni przynieśli ze sobą świece do kościoła i uroczystie odnowili przymierze chrzcielne. „To wydarzenie nabiera szczególnego znaczenia w kontekście Roku Wiary, zapowiedzianego przez Ojca Świętego Benedykta XVI. Przede wszystkim chcemy sobie uświadomić, że do Domu Kościoła każdy z nas wszedł przez bramę chrztu świętego” – napisał arcybiskup. Zaapelował także, aby w tym dniu wyeksponować i odpowiednio przyozdobić chrzcielnice w parafialnych kościołach. „Trzeba, byśmy przypomnieli sobie znaczenie, wartość i głębię tego sakramentu” – podkreślił metropolita górnośląski.

Zmiana strategii

REGION. KZK GOP zapowiedział zmiany we wprowadzaniu podwyżek cen biletów. Od teraz mają być regularne, każdego roku o kilka procent. Zarząd chce w ten sposób nadążyć za wzrostem cen paliw i inflacją. W tym roku podwyżka planowana jest na kwiecień i ma wynieść ok. 7 proc. Bilet na jedno miasto będzie prawdopodobnie kosztował 3 zł, a nie – tak jak dotychczas – 2,80.

Likwidacja kopalni w Pszowie

Jak żyć bez „Anienki”?

Mieszkańcy muszą przygotować się, że po niemal 180 latach **wydobyć w kopalni „Anna” zostanie wstrzymane.**

Skończył się surowiec – tak decyzję uzasadnia Kompania Węgłowa, właściciel kopalni. – Koniec pewnego etapu – mówią mieszkańcy Pszowa.

Zanim otwarto tu kopalnię, Pszów był małą wioską. Przez dwa wieki fe-drunku urosł, stał się górniczą miejscowością, do której ściągali ludzie z całej Polski w poszukiwaniu pracy.

– To nie jest tak, że 1 lutego zawiesimy kłódki na bramach i wszystko się zatrzyma. Kopalnia przejdzie w stan likwidacji. Ten proces potrwa prawdopodobnie do 2017 roku – uspokaja Marek Hawel, burmistrz Pszowa. Dodaje, że powolne zmniejszanie wydobycia właściwie rozpoczęło się, gdy „Anna” przyłączyła się do kopalni „Rydułtowy” i stała się jej drugim ruchem. Wcześniej pracowało w niej ok. 7 tysięcy osób. Dziś – tysiąc.

– Ludzie się boją – ucina szytgar pracujący w pszowskiej kopalni. – Trudno się dziwić, każdy z nich pracował na „Annie” 20–25 lat. A teraz będą musieli szukać pracy.

On sam jest w grupie kilkuset osób, które zostaną w kopalni, by brać udział w procesie likwidacji. W „Annie” pracuje od końca lat 80. ub. wieku – całe swoje zawodowe życie. – Mam nadzieję, że uda mi się tu zostać do emerytury. Brakują mi do niej dwa lata, o ile rząd nie zmieni przepisów – mówi.

Kompania Węgłowa zapewnia, że nikt nie straci pracy. Większość załogi już została przesunięta do in-



Główny szyb to charakterystyczny element pszowskiego pejzażu

nych kopalń. – Nie możemy spocząć i płakać – podkreśla burmistrz Pszowa. – Od dawna szukamy inwestorów, którzy przejmą budynki pokopalniane. Część nieruchomości udało się już zagospodarować.

Miasto wyraziło także zainteresowanie przejęciem budynków. Na razie Kompania Węgłowa podjęła decyzję o samodzielnej sprzedaży nieruchomości. – Chcemy aktywnie włączyć się w ten proces, ponieważ w tym momencie najbardziej dotkliwym skutkiem likwidacji kopalni „Anna” będzie brak wpływów do budżetu z podatków odprowadzanych

przez spółkę – wyjaśnia Marek Hawel.

Władze miasta uspokajają, że dziurę w budżecie uda się stopniowo zniwelować. Mieszkańcy, ich zdaniem, nie powinni odczuć większych zmian w następnych latach. Jednak dopytywani przyznają, że trudno tak naprawdę przewidzieć, jakie likwidacja kopalni przyniesie ze sobą konsekwencje. „Anna” była największym pracodawcą w okolicy. Dlatego pszowianie ciągle zastanawiają się, czy sobie poradzą bez ich „Anienki”, jak pieszczotliwie nazywają kopalnię.

msp

Tytuły dla arcybiskupa

KATOWICE, RUDA ŚL. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia arcybiskup senior Damian Zimoń został podwójnie uhonorowany. Najpierw 19 grudnia, podczas sesji Sejmiku Śląskiego, wręczono mu Złotą Odznakę Honorową „Za zasługi dla województwa śląskiego”. Uzasadniając wyróżnienie, radni podkreślili m.in. wkład metropolity w rozwój nauki, kultury Śląska oraz propagowanie godności ludzi pracy. Natomiast 22 grudnia abp Damian Zimoń odebrał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ruda Śląska. – Bardzo się cieszę z tego wyróżnienia – powiedział. – To kolejny krok, by zbliżyć wiernych z biskupem.

pie



– Dziękuję wszystkim za to wyróżnienie. To dla mnie motywacja, by spróbować jeszcze zrobić coś dobrego – powiedział abp Damian Zimoń, odbierając Złotą Odznakę Honorową „Za zasługi dla województwa śląskiego”

Nieudolne próby

PSZCZYNA. Naczelny Sąd Administracyjny utrzymał w mocy wyrok, który uznał za bezprawną umowę przekształcenia Szpitala Powiatowego w Pszczynie. Podtrzymał tym samym orzeczenie WSA z czerwca, które unieważniło umowę dzierżawy zawartą przez Starostwo Powiatowe z „Centrum Dializa”. Decyzją radnych, spółka z Sosnowca przejęła szpital 1 marca 2011 roku na 20 lat. Stało się tak, mimo zgłaszanych wątpliwości, czy spółka będzie w stanie prowa-

dzić wieloprofilowy zakład opieki zdrowotnej, nie mając doświadczenia. W praktyce decyzja NSA oznacza koniec powrotu do stanu sprzed dzierżawy – szpital znów będzie publicznym zakładem opieki zdrowotnej. Unieważniona umowa zakładała, że budynek i sprzęt nadal będą stanowić własność powiatu. Spółka „Centrum Dializa” miała za to wolną rękę w decydowaniu o profilu działalności i istnieniu przychodni specjalistycznych.

msp

Niniejszym zawiadamiam, iż z dniem 19 grudnia 2011 roku Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Apostolstwo Chorych podjęło uchwałę o likwidacji Stowarzyszenia.

Danuta Dajmund – likwidator

Od redakcji Apostolstwa Chorych

Dotychczas Apostolstwo Chorych posiadało kościelną oraz cywilną osobowość prawną. Likwidacja Stowarzyszenia nie oznacza zaprzestania działalności Apostolstwa Chorych jako kościelnej osoby prawnej. Nic w działalności Apostolstwa Chorych nie ulegnie zmianie. Będzie nadal prowadziło swoją działalność w tym samym zakresie co do tej pory.

Kapłańskie nominacje

ARCHIDIECEZJA. Pierwsze dekry abp. Wiktora Skworca trafiły do rąk kapłanów archidiecezji. Nowym ceremoniarzem archidiecezjalnym został ks. dr Andrzej Hoinkis, który do tej pory pełnił m.in. posługę duszpasterza akademickiego. Nominację na sekretarza i rzecznika arcybiskupa katowickiego otrzymał ks. dr Łukasz Gaweł, adiunkt w Zakładzie Teologii Fundamentalnej i Filozofii Chrześcijańskiej na WT UŚ. Metropolita katowicki mianował też ks. Tomasza Nowaka, dyrektora ośrodków „Święta Faustyna” w Tychach i „Miłosierdzie Boże” w Borowej Wsi, moderatorem parafialnych zespołów Caritas oraz szkolnych kół Caritas. Z kolei nominację na zastępcę dyrektora Wydziału Duszpasterstwa Ogól-



Ks. Roman Chromy, nasz redakcyjny kolega, został zastępcą dyrektora Wydziału Duszpasterstwa Ogólnego

nego odebrał ks. Roman Chromy, obecny dyrektor oddziału katowickiego „Gościa Niedzielnego”. ap

Zmarli kapłani

ARCHIDIECEZJA. Przed świętami pożegnaliśmy dwóch duszpasterzy naszej archidiecezji. **Ks. KAZIMIERZ BOBEK** urodził się 14 maja 1927 w Tarnowskich Górach. W latach 1949–1954 był alummem WSSD w Krakowie i studentem Wydziału Teologicznego UJ. Święcenia prezbiteratu otrzymał z rąk biskupa częstochowskiego Zdzisława Golińskiego 29 czerwca 1954 r. w Piekarach Śl. Pracował jako wikariusz w parafiach NSPJ w Chorzowie Batorym i Najśw. Imion Jezusa i Maryi w Brynowie, potem jako katecheta w Siemianowicach Śl.



Ks. Kazimierz Bobek



Ks. kanonik Jerzy Matysik

i Szopienicach, następnie znów jako wikariusz w Łaziskach Górnych, Boguszowicach, Nakle Śląskim i Knurowie. Zmarł 19 grudnia 2011 w Katowicach. Pochowany został w parafii Matki Bożej Królowej Pokoju w Tarnowskich Górach.

Ks. KANONIK JERZY MATYSIK urodził się 15 stycznia 1940 r. Po zdaniu w 1957 r. matury wstąpił do WSSD w Krakowie. Święceń diakonatu udzielił mu 7 kwietnia 1963 r. bp Józef Kurpas. Święcenia prezbiteratu przyjął z rąk biskupa koadiutora Herberta Bednorza 23

czerwca 1963 r. w katowickiej katedrze. Ks. Jerzy Matysik był wikariuszem w parafiach: Nawiedzenia NMP w Orzeszu (do 1967), św. Jadwigi w Chorzowie (do 1970) i Chrystusa Króla w Katowicach (do 1976). W 1976 został proboszczem parafii Chrystusa Króla w Golejowie, a następnie, w 1993 r., proboszczem parafii NSPJ w Rudzie Śląskiej-Bykowie. W dekanatach Rybnik Północ oraz kochłowickim był duszpasterzem rodzin. W 1995 r. został mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Metropolitalnej Katowickiej. Zmarł 17 grudnia

2011 r. w Domu Świętego Józefa w Katowicach. Pochowany został w parafii NSPJ w Rudzie Śląskiej-Bykowie. sp

GOŚĆ KATOWICKI

katowice@gosc.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. Wita Stwosza 11, 40-042 Katowice
TELEFON (32) 608 76 76 FAKS (32) 251 50 21
REDAGUJĄ:
ks. Roman Chromy – dyrektor oddziału,
Marta Sudnik-Paluch, Aleksandra Pietryga

Ordery dla działaczy „Solidarności”

Zatrzęśli komuna

Kolportowali kazania ks. Jerzego Popiełuszki. Założyli radio solidarnościowe. Inicjowali strajki, a dzięki temu... pomogli odkryć powołanie zakonne swojej siostrze.

Trzej bracia: Piotr, Eugeniusz i Leszek Polmańscy. – W Piekarach Śląskich plotkowali, że trzęsiemy kopalnią „Andaluzja” – śmieją się.

Nigdy nie pomyśleli, żeby się wycofać, choć za swoją działalność mogli zapłacić najwyższą cenę. Działalność w podziemiu została doceniona przez prezydenta RP, który przyznał im Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Rodzina, ach rodzina

– Chciałbym podziękować przede wszystkim mojej żonie Halinie, która przez te wszystkie lata stała przy moim boku. Wychowała pięć dzieci i nigdy nie stawiała mnie przed wyborem: moja działalność albo ona i dzieci – powiedział po uroczystości wzruszony Piotr Polmański.

– Nigdy nie obrażaliśmy się na naszych kolegów, że rezygnują z akcji czy większego zaangażowania ze względu na rodzinę. Respektowałem taką postawę, choć wiedziałem, że nie będzie skuteczna w tej walce – zaznacza Leszek Polmański. – Mnie przez te wszystkie lata było prościej, ponieważ byłem kawalerem – dodaje Eugeniusz Polmański. – Dlatego trudniejsze akcje brałem na siebie. To ja przywożłem z Warszawy najdajnik, żebyśmy mogli uruchomić radio.

Niestety, nie zawsze udało się uchronić najbliższych, choćby przed nieproszonymi gośćmi. Do domu wpadali czasem esbecy w poszukiwaniu „bibuły”, czyli gazetek opozycyjnych. – Podczas jednego z takich nalotów otworzyli naszą szafę z ubraniami i zaskoczył ich porządek. Słyszałem, jak jeden do drugiego mówił, że nie warto tego rozkopywać, bo jest tak posprzątane, że na pewno niczego nie znajda.

Moja żona zawsze równiutko wszystko układała, to nie był żaden kamuflaż – Piotr Polmański, dodając jednak, że rzadko bywało im wtedy do śmiechu.

Długi marsz

Bracia podkreślają, że z SB prowadzili swoistą grę. Tak samo jak z nadzorem kopalni. – Co rusz byliśmy przetrzucani do innego oddziału, na najbardziej niebezpieczne odcinki – wspomina Leszek Polmański. – Ale dzięki temu poznawałem większą liczbę ludzi, mówiłem im o naszej działalności. Na początku nie chcieli rozmawiać ani czytać „bibuły”. Więc zostawialiśmy ją schowaną, np. przy taśmach, żeby górnicy choćby z nudów po nią sięgnęli. Potem już sami pytali, czy coś mamy.

Polmańscy byli współorganizatorami strajku w kopalni „Andaluzja” w grudniu 1981 r. Kiedy zrozumieli, że w ten sposób nie uda się niczego osiągnąć, postanowili zmienić taktykę i przygotować się na długi marsz ku wolno-

ści. Nawiązali współpracę m.in. z redakcją „Gościa Niedzielnego” i ks. Jerzym Popiełuską. Przywozili na Śląsk najnowsze informacje o ruchach opozycji. Razem z siostrą Justyną założyli zespół i występowali w kościołach.

– Śpiewaliśmy m.in. „Nie chcemy komuny”, pieśni o ks. Jerzym i inne patriotyczno-religijne – wspomina Piotr Polmański. – Nieraz widzieliśmy, jak ludzie ocierają łzę. Jakoś w ogóle się nie baliśmy.

To dzięki atmosferze tamtych dni – jak później przyznała braciom – Justyna Polmańska wybrała życie zakonne. Ten czas uświadomił jej, że to Bóg jest najważniejszy.

W 1988 roku Polmańscy doprowadzili do tego, że kopalnia „Andaluzja” poparła strajkującą kopalnię „Manifest Lipcowy” z Jastrzębia-Zdroju. Piotr był przewodniczącym komitetu strajkowego. Zostali za to zwolnieni, mimo że porozumienie podpisane z protestującymi gwarantowało powrót do pracy. – „Gość Niedzielnny”, jako jedyna w Polsce gazeta, wydrukował w całości treść porozumienia – przypomina Andrzej Grajewski, publicysta GN. – Wsparliśmy protest Polmańskich, którzy podjęli głodówkę w katowickiej archikatedrze.

W sprawę zaangażował się także obecny metropolita katowicki abp Wiktor Skworec. Dziś Polmańscy przyznają, że pewnie czuli się tylko w dwóch miejscach – w kościele i kopalnianych chodnikach. – Tam „nie docierała” propaganda – żartuje Leszek Polmański.

Nasza Polska

Andrzej Grajewski doskonale znał sytuację braci, m.in. wspólnie z nimi w sierpniu 1988 r. próbował się przedostać na teren strajkującej kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu, a wcześniej pisał o nich na łamach GN. W latach 80. ub. wieku działał w podziemnych strukturach „Solidarności” na Podbeskidziu. W zeszłym miesiącu został odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Brał także udział m.in. w przetrucaniu literatury i ulotek przez zieloną granicę do Czechosłowacji. – Cała sztuka polegała na tym, by znaleźć miejsce zetknięcia się szlaków po stronie polskiej i czechosłowackiej. Na szczęście miałem uprawnienia przewodnika beskidzkiego, więc odznaka się przydała, chyba pierwszy i ostatni raz. Dzięki niej nie zaczepiali mnie wopięci – wyjaśnia.

Opowiada, że w Beskidy przyjechała kiedyś wytyczać szlak przetrutowy łączniczka z Warszawy. Niestety, zgubiła się, a na widok wopistów spanikowała i zaczęła uciekać. Nie dość, że zwichnęła nogę, to jeszcze została złapana i skazana.

Takich historii można by przytaczać wiele. Pamięć o nich żyje, dopóki żyją uczestnicy tych wydarzeń. W najgorszych przypadkach te wydarzenia pisane są od nowa, w świetle „rewelacji” znajdowanych w archiwach. – Mam kolegów, którzy po prostu obrazili się na obecną rzeczywistość – przyznaje Piotr Polmański. – Jednak zawsze powtarzam, że widząc wiele wad w systemie rządzenia, należy pamiętać, że możemy na niego wpływać, że dziś to już nasza Polska. Nie tak, jak kiedyś.

Marta Sudnik-Paluch



Piotr, Halina, Justyna (obecnie s. Tomasz), Eugeniusz i Leszek Polmańscy tuż po wręczeniu odznaczeń w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim 20 grudnia 2011 r.

Ten siódmy z duszą

WYWIAD.

O końskim ogonie na koloniach, różowym zeszyście i małżeństwie z góralem z Otylią Trojanowską ze Studzionki, finalistką konkursu „Ślązok nad Ślązokami 2011”, rozmawia ks. Roman Chromy.

Ks. ROMAN CHROMY: Każdego gości Pani śląskim żurem?

OTYLIA TROJANOWSKA: – Zapowiedział się ksiądz około południa, więc powiedziałam sobie: „Nawarzymy żuru i pojmy razem” (*śmiech*). Co więcej, żur miał szansę nie być cienki jak w postny piątek, bo akurat mąż wędził boczek na święta.

Podobno pierwszy raz przekonała się Pani, co znaczy być Ślązaczką, podczas wakacji nad morzem?

– Kiedy miałam 10 lat, rodzice posłali mnie na kolonie organizowane przez służbę zdrowia. Było to koło Elbląga. Tam przeżyłam swój osobisty dramat. Bawiąc się z dziećmi lekarzy i pielęgniarek, nie potrafiłam mówić do nich czysto po polsku. Posługiwałam się wyłącznie śląską gwara. Jedna z pań powiedziała mi: „Dziewczynko, ty brzydko mówisz”. Nie rozumiałam tej uwagi, bo w domu zawsze tak mówiłam do najbliższych i rówieśników.



Otylia Trojanowska z mężem Piotrem i wnukami (od lewej): Radkiem, Szymonem i Jakubem

Zainteresowanie wzbudził też mój ubiór.

Czym się wyróżniała mała Tilka ze Studzionki?

– Mama uszyła dla mnie dwie kretonowe sukienki. Oczywiście za kolana, tak, żeby były przykryte. A na niedzielę spakowała mi „komunijne szaty” od starszej siostry. Kiedyś tak dzieci chodziły do kościoła. Miałam warkocz. Co tu dużo mówić – byłam zwykłym wiejskim dzieckiem. Kiedy wybraliśmy się nad wodę, jedna z pań wzięła moją sukienkę i podwinęła ją tak, żeby była krótka. Rozplotła mi warkocz i zrobiła z włosów koński ogon, żeby upodobnić mnie do miejskiego dziecka. Wieczorem modliłam się przed obrazkiem Matki Bożej, takim owalnym. Mama zdjęła go ze ściany w kuchni i włoży-

ła do walizki, żebym pamiętała o codziennej modlitwie. Kiedy rozpoczynałam pacierz, wyśmiewano mnie. Było to upokarzające doświadczenie. Powiem szczerze, że w ukryciu przeplakałam całe kolonie. Choć rodzicom zachwalałam ten wypoczynek, od tamtego czasu nie chciałam już nigdzie wyjeżdżać.

Kilkakrotnie dostała się Pani do półfinału konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”. W 2009 r. zajęła Pani pierwsze miejsce. Jesienią zeszłego roku znalazła się w ścisłym gronie laureatów konkursu „Ślązok nad Ślązokami”.

– Pierwszy raz pojechałam do Polskiego Radia Katowice na przesłuchanie w 2006 r. Ułożyłam monolog o odpuszczeniu w Studzionce, opisując go ocza-

mi dziecka. Pani Maria Pańczyk ogłosiła na antenie, że dostałam się do półfinału. Było to w niedzielę, po Mszy św. Mąż akurat odpoczywał w ogrodzie. Pobiegłam do niego z tą nowiną, a on na to: „Tego brakowało. Już w zespole śpiewasz, a teraz jeszcze do radia będziesz jeździła”. Tak już to jest, że chłopu się nie podoba, jak baba loce to tu, to tam (*śmiech*). Ale ja ogromnie się ucieszyłam. W kolejnych konkursach wspominałam o dzieciństwie, rodzinnej wiosce i o moim małżeństwie z góralem.

Jak zareagowali mieszkańcy Studzionki na Pani sukcesy?

– Miałam u nich ogromne poparcie. Niektórzy gratulowali mi, mówiąc: „Dziś, kaj ci się to bierze, żeś ty tak fajnie o naszej wsi opowiadała?”. Z moimi opo-

wieściami zapraszano mnie przy różnych okazjach, np. na Dzień Kobiet, do emerytów i do szkoły w Studzionce.

Przygotowanie do konkursu to mozolna praca.

– Po pierwszych dwóch konkursach dostałam skrzydeł. Tematy same przychodziły do głowy. W układaniu tekstów nikt mi nie pomaga. Prezentowany w konkursie monolog najpierw układałam sobie w myślach. Potem, któregoś wieczoru, siadałam w kuchni przy stole i spisuję go w różowym zeszyście. Wtedy muszę być sama, bo mówię tekst na głos. Najgorsze jest to, że trzy dni przed tegorocznym konkursem na „Ślązoka nad Ślązokami” zgubiłam mój zeszyt. Na szczęście monolog znałam już na pamięć.

W 2009 r. miała Pani już nie startować w konkursie „Po naszymu, czyli po śląsku”.

– Przez trzy kolejne lata dostawałam się do półfinałów. To mi wystarczało. Nigdy nie zależało mi na rozgłosie ani na rywalizacji. Start w konkursie był dla mnie wielkim wyróżnieniem. Spotkałam jego organizatorkę Marię Pańczyk-Poździej i wspomniałam profesorów: Dorotę Simonides, Helenę Synowiec, Jana Miodka i ks. Jerzego Szymika.

Nadszedł jednak 2009 rok.

– Słyszałam w Radiu Katowice ogłoszenia o kolejnym konkursie. Mówiłam sobie: „Mam już to za sobą”. Ale po głowie chodziła mi historia o moim małżeństwie. Wtedy mąż obchodził 60. urodziny. Byliśmy 37 lat po ślubie.

Zrobiło się Pani żal?

– No właśnie. Niestety, mijał termin zgłoszenia. Niewysłałam kartkę z moimi danymi przechowuję do dziś.

A jednak pojawiła się Pani na konkursie.

– Akurat przyjechała do mnie córka. Mówię jej: „Wiesz co, Syl-

wia, mogłam pojechać na ten konkurs. Ale kartka zgłoszenia nie dojdzie już na czas. Pojadę tylko posłuchać innych”. Wtedy córka zgłosiła mój udział esemesem. Błyskawicznie otrzymałam potwierdzenie. Podczas przesłuchania opowiedziałam monolog o moim małżeństwie z Piotrem. Prof. Miodek zapytał mnie krótko: „Czy to była prawdziwa historia?”. „To moje życie” – odpowiedziałam.

Tak znalazła się Pani w gronie 15 półfinalistów kolejnej edycji konkursu.

– Pojechałam do radia z koleżanką z naszego zespołu. Mąż akurat sadził tuje wokół domu. Znowu opowiedziałam o moim małżeństwie. Jury nie zadawało mi już żadnych pytań. Kiedy wracaliśmy do domu, moja koleżanka powiedziała: „Tilka, dostaniesz się do finału”.

O czym Pani opowiadała jury?

– Chyba po raz pierwszy tak szeroko otworzyłam moje serce przed obcymi ludźmi. Nikt wcześniej mojej historii małżeńskiej nie słyszał. Wzruszałam się, wspominając o sprawach, których można by się wstydić – „małych zakrętach małżeńskich”, biedzie. Bo po ślubie były momenty, gdy brakowało nam pieniędzy. W ciągu 8 lat urodziły nam się cztery córki...

Wyszła Pani za górala spod Nowego Sącza. W Studzionce poczuł się u siebie?

– Chyba tak, bo się kochamy (*śmiech*). Nieraz męża trzeba przytulić do siebie i powiedzieć mu: „Jesteś mój!”. Choć kiedy poznałam Piotra, tata mi mówił: „Dziś, dość jest u nas fajnych synków, kaj tam nom gorola sam jeszcze przykludzisz”. I dodał: „Co siódmy gorol to jedna dusza”. Dziś myślę, że trafił mi się ten siódmy. Nie bez powodu przysłowia ludowe są mądrością narodu (*śmiech*).

Czym tak przekonał Panią do siebie przyszyły małżonek?

– Po zapowiedziach małżeńskich pojechałam z Piotrem do jego rodziców. Oczywiście za zgodą mojej mamy i taty, którzy i tak kręcili głowami, bo „jak to dziewczyna może poje-

chać do swojego narzeczonego”. Co mnie ujęło w jego zachowaniu? Sposób, w jaki przywitał się z matką – objął ją i ucałował w rękę. Podobnie z ojcem. Tego nie widziałam na Śląsku. Pomyślałam sobie wtedy: „Skoro on ma taki szacunek do rodziców, to może dla mnie również będzie dobry”.

Potrzebowałam 20 lat, żeby docenić swoją ojcowiznę i opowiedzieć o niej innym

Zatem Ślązaczka z góralem – udana para?

– Oj, górale są zażarci i zawzięci, ale ja mam wspaniałego męża. Nie pije, nie pali papierosów, a na koniec miesiąca zawsze kładł na stół całą wypłatę (*śmiech*). Mama zawsze mi powtarzała: „Nie pyskuj chopu!”. I rzeczywiście, nigdy na ojca nie podniosła głosu. Kiedy widziała, że jest nerwowy, starała się go nie rozdrażniać. Szczerze mówiąc, wtedy, jako młoda dziewczyna, nie mogłam się z taką postawą mamy pogodzić. Myślałam o nowocześniejszym małżeństwie... Teraz jednak rozumiem jej życiową mądrość. Ojciec był spokojny i... w końcu zawsze było tak, jak chciała mama (*śmiech*).

Wymieszaliście z mężem tradycję śląską i góralską?

– Nawet tego chciałam. Z gór przywędrowały do naszego domu m.in. pierogi, barszcz z uszkami i gołąbki. Mąż zachował własną gwarę. Z drugim człowiekiem trzeba się nauczyć po prostu żyć.

Nosi Pani śląskie szaty?

– Czuję się prawdziwą Ślązaczką. Jestem dumna, kiedy zakładam tzw. kiecki i czepiec. Ale tak nie było zawsze. Do wszystkiego trzeba dojrzeć. Potrzebowałam 20 lat, żeby docenić swoją ojcowiznę i opowiedzieć o niej innym.

Istnieje śląska duma?

– Myślę, że tak. To wewnętrzne przekonanie, że najlepiej czuję się u siebie. Śląską dumę tworzą dom rodzinny, jego obejście i szczęście dzieci. Cieszę się, że moje córki zdobyły wykształcenie. Wprawdzie mam świadomość, że w razie potrzeby powinnam mówić czysto po polsku, ale moją dumą są najbliżsi i sąsiedzi, którzy posługują się tą samą gwarą co ja. Śląską dumę współtworzy też Kościół.

Co to oznacza?

– Dzieciom zawsze powtarzam: „Bez Boga ani do proga”. Centralnym miejscem naszej wioski jest kościół, wokół niego są groby naszych ojców i dziadków. To jest mój Śląsk.

REKLAMA

Zakład Pogrzebowy RESURREXIT (od 1990 r.)

Kompleksowe usługi pogrzebowe w duchu chrześcijańskim

- całodobowy przewóz zmarłych
- pochówek tradycyjny i kremacja
- załatwianie formalności w USC
- załatwianie formalności w ZUS (wypłata zasiłków)

Katowice	Telefony całodobowe:
ul. Sienkiewicza 45	519 546 085
Katowice ul. Warszawska 58	604 539 606
Katowice-Ochojec ul. Jankego 68	32/206 52 76
Katowice-Tysiąclecie ul. Mieszka I nr 6	32/259 91 20
	32/350 90 13

Dzieci wędrują do Betlejem

Papućki z Hello Kitty

Magowie ze Wschodu jechali z prezentami do Wielkiego Króla, a zastali małe Dziecko w biedzie i zimnie stajni. Otrzymali więcej, niż sami dali: zobaczyli Boga. Zapytaliśmy dzieci, **co podarowałyby małemu Jezusowi i o co by Go poprosiły.**



MONIKA WIECZOREK-BANKA

To skarbonka z pieniżkami, które zbieram 2 albo 5 lat. Pan Jezus ucieszyłby się też pewnie z dobrego uczynku. Na przykład, gdybyśmy nie kłócili się z bratem o zabawkę, tylko się dzielili. Chciałbym prosić Pana Jezusa o to, żeby skończyły się wojny na świecie. Zwłaszcza w Afryce. Jest tam upał, dzieci i ich rodzice są głodni i w dodatku panowie muszą walczyć. Gdy narody walczą ze sobą, to nikt nie jest szczęśliwy. Prosiłbym też o pieniądze dla rodziców z Afryki, żeby mogli kupić sobie i dzieciom jedzenie. Gdybym mógł poprosić małego Jezusa o coś dla siebie, to byłby to tir z klocków Lego. To dobrze skonstruowany pojazd – nie to, co cysterna, która może się rozszczelnić i zgubić paliwo.

NIKUŚ, 5 LAT:

– Rzeczą, która jest dla mnie cenna, jest mój samolot z klocków Lego. Ale mam coś cenniejszego, co mógłbym dać Dzieciątku.



LUDASZ TURA

PAULINKA, 8 LAT:

– Gdybym dzisiaj mogła pójść do małego Jezusa do Betlejem, przyniosłabym mu same dobra. Żeby Go ogrzać, zaniósłabym jakieś ciuszki, z których moja siostrzyczka już wyrosła. Żeby Mu nie było smutno, dałabym jakiegos pluszaczka. Mam ich dużo. Zyczyłabym Jezusowi dużo

zdrowia, uśmiechu i żeby nie było Mu tak strasznie zimno. Maryi przyniosłabym pampersy, żeby nie musiała prać pieluszek. Poprosiłabym Dzieciątka o zdrowie dla całej rodziny i o to, żeby spadł śnieg, bo jadę na narty. Myślę, że mogłabym też nauczyć Pana Jezusa jeździć na nartach. To naprawdę fajny sport.

PAWEŁEK, 7 LAT:

– Małemu Jezusowi dałabym to, co mam najcenniejszego – swoją duszę i serce. W tym roku pójść do Pierwszej Komunii, więc Mu je na pewno oddam. Poprosiłabym Pana Jezusa, żeby ludzie byli dobrzy i Go kochali. Też o to, żeby wszyscy dobrze czuli się na ziemi i więcej ludzi chodziło do kościoła. Chciałabym też, żeby ciocia Natalka, która jest misjonarką w Afryce, szybciej przyjechała do domu.



ALEKSANDRA PIETRZYGA



ALEKSANDRA PIETRZYGA

TERESKA, 7 LAT:

– W stajence jest bardzo zimno, więc zaniósłabym Dzieciątku moją huśtawkę z Ikei, żeby nie leżało na ziemi. My możemy sobie kupić nową. Wiem, że w stajni nieładnie pachnie, dlatego zabrałabym perfumy mojego starszego brata. Małemu Jezusowi dałabym też swoją wiarę – bo ja mocno wierzę w Pana Boga – i miłość. To znaczy, że będę Go kochać z całej siły. Poprosiłabym Małego Jezusa o krzeselko do pianina i o to, żeby pójść prosto do nieba. To znaczy bez czyścica. Ewentualnie z całą rodziną. I o to, żeby mój brat Wojtuś nie musiał tak rosnać, bo on jest taki słodki.

PIOTRUŚ, 4 LATA:

– Gdybym spotkał małego Pana Jezusa, to bym Mu coś zaśpiewał, a potem mógłbym zrobić dla Niego gościńnię. O co bym Go poprosił? Żeby mi przywiózł Nutellę, bo za długo już proszę o nią mamę i tatę. A na drugim miejscu, żeby babcia i dziadek byli zdrowi.



ALEKSANDRA PIETRZYGA

ZOSIA, 3 LATA:

– Panu Jezusowi dałabym pierzynkę i poduszkę. I papućki z Hello Kitty, żeby miał ciepłe stópki (chwila krzestawienia), ale te stare. Dałabym Mu telefon, żeby mógł do mnie zadzwonić. Zabrałabym mamusię, żeby Maryi nie było tak smutno. Poprosiłabym Pana Jezusa, żeby padał śnieg i goście do mnie przyjechali.



ALEKSANDRA PIETRZYGA

Niezwyczajny talent z LO im. Noblistów Polskich w Rydułtowach

Efekt Go

Kilkunastoletniego Mateusza Surmę dorośli gracze prosili o radę w kwestii taktyki. Jako najmłodszy zawodnik **reprezentował kraj na Olimpiadzie Sportów Umysłowych w Pekinie**. Był najlepszy z Polaków.

Nie lubię schematów – powiedział nam Wojciech Surma, tata Mateusza. Dlatego zaczął grać w Go, a nie na przykład w szachy, a dla rodziny zbudował dom okrągły jak kapelusz muchomora. Nieszablonowy styl życia przynosi widać efekty, bo 16-letni Mateusz od kilku lat znajduje się na pierwszym miejscu w rankingu najlepszych graczy Polskiego Stowarzyszenia Go, bijąc na głowę dwa, trzy razy starszych od siebie zawodników. Jest czterokrotnym mistrzem Europy juniorów, ośmiokrotnym mistrzem Polski, a biorąc udział w mistrzostwach świata, cztery razy znajdował się w pierwszej dziesiątce.

Go, logiczno-strategiczna gra planszowa, ciągle mało popularna w tej części kuli ziemskiej, na Dalekim Wschodzie często uznawana za grę narodową. Nie bardzo wiemy, kto i kiedy ją wymyślił. Wiadomo, że jej korzenie sięgają starożytnych Chin. Według legendy, powstała na dworze cesarza Yao (2357–2255 r. p.n.e.), by zmotywować do nauki leniwego następcę tronu Dan Zhu. Ponoć młody książę został mądrym władcą i świetnym strategiem. Nie stworzono – jak dotąd – takiego programu komputerowego, który wygrałby z człowiekiem w Go.

– Zasady są proste, każdy może się ich nauczyć – twierdzi Mateusz Surma. – W dodatku gra nigdy się nie przykrzy. Liczba kombinacji, które gracze mogą wykonać, nie pozwala na nudę.

Nauczyć się może każdy, ale nie wszyscy mogą być mistrzami. Talent Mateusza dał znać o sobie bardzo wcześnie. – Nauczyłem grać syna w Go, kiedy miał 6 lat – opowiada pan Wojciech. – Po pięciu miesiącach od pierwszego naszego meczu zdobył złoty medal na mistrzostwach Polski juniorów w kategorii do lat 12. To była silna

motywacja do rozwoju, zarówno dla chłopca, jak i jego rodziców. W rodzinie Surmów grają wszyscy: Mateusz, tata, mama Ola i młodszy brat Bartosz.

– Myślę, że Go bardzo rozwija umysł, umiejętność logicznego myślenia, ćwiczy pamięć – mówi ojciec. – Na pewno też, jak każdy sport, uczy dystansu do siebie i do życia.

Mateusz od 2009 roku mieszka w Korei Płd. Tam uczy się w szkole Go pod okiem najlepszych na świecie graczy. Wśród stu Koreańczyków i dwóch Japończyków jest jedynym Europejczykiem. Lekcje zaczyna rano, a kończy późnym wieczorem. W weekendy gra w turniejach. Czasem musi wykonać około 1500 ruchów na planszy. Następnego dnia nauczyciel każe mu odtworzyć je wszystkie (z pamięci!), a potem wspólnie komentują grę. Na tym polega nauka. Praktyczne ćwiczenia zastępują teorię. Mateusz musi uczestniczyć też w polskim obowiązku szkolnym do 18. roku życia. Co kilka miesięcy wraca więc do kraju i zdaje egzaminy. Na przyswojenie materiału z całego semestru ma czasem tylko kilka dni. Mimo to gimnazjum skończył, uzyskując średnią ocen 5,0. Efekt Go?

– Moim celem jest zostać zawodowcem – mówi Mateusz, pytany o dalsze losy w Korei. Nie będzie łatwo, ale w marzeniach utwierdzają go opinie mistrzów. „Za dwa lata będziesz zawodowcem” – powiedział niedawno jeden z nich. Jaka jest cena poświęcenia życia pasji? – Rozłąka z rodziną – uważa tata Mateusza. – Brak czasu wolnego, niewiele relacji, czasem brak sił – dodaje syn. Zastrzega jednak, że gdyby miał zaczynać życie od początku, znów wybrałby Go.

Aleksandra Pietryga



ARCHIWUM RODZINNE

– Przed turniejem nie stresuję się, do porażek podchodzę z dystansem, ze zwycięstwa się cieszę – mówi Mateusz Surma, najlepszy polski gracz w Go

R E K L A M A

nie akceptujesz
nie reagujesz

997 Alarmuj widząc przestępstwo!



Jubileusz śląskiego poety

Z czułością
o Marianie

W grudniu prof. Marian Kisiel świętował w redakcji miesięcznika „Śląsk” nie tylko swoją pięćdziesiątkę, ale i wydanie nowego tomiku „Czułość”.

Zyciorys poety, profesora, kierownika Zakładu Literatury Współczesnej w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej, prodziekana ds. rozwoju i promocji Uniwersytetu Śląskiego, człon-

ka Komitetu Nauk o Literaturze PAN jest niestereotypowy. Najpierw skończył technikum, a potem na całego zajął się humanistyką. W 2007 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Od czasów studenckich był współpracownikiem wielu czasopism literackich i społeczno-kulturalnych. Uonorowano go wieloma tytułami, a wśród nich medalem St. Grochowiaka, odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”. Stale zajmuje się twórczością krytyczno- i historyczno-literacką, ale też pisze wiersze.

Ostatnio ukazały się opowiadające o żegnaniu przyjaciół w czasie wędrówki po ziemi „Wy-



BARBARA GRUSZKA-ZYCH

Swoje 50. urodziny poeta świętował w gronie przyjaciół – wielbicieli jego twórczości

pominki”, a teraz „Czułość”. Kisiel z niezwykłą uważnością i właśnie czułością opisuje świat, w którym dane jest nam żyć. Po mistrzowsku, z dużą oszczędnością środków wyrazu, zatrzymuje każdy jego szczegół, rzecz można – „świętuje go” w swojej poezji. A jednocześnie nieustannie i przejmująco żegna się z tym, co codzienne,

towarzyszące nam od urodzenia aż do śmierci. W wierszu „Dziękuję ci” pisze:

*dziękuję ci za kwiecień
gdy odchodzi zima
a ja wstaję z martwych*

Parafrazując słowa wiersza, możemy powiedzieć: „dziękujemy Ci za Mariana”.

bgz

Wolontariuszki katowickiego stowarzyszenia wspierają poszukujących pracy

W sukience po sukces

Czy zmiana wizerunku może pomóc w karierze? – Zdecydowanie tak! – zapewniają działaczki Stowarzyszenia „Dress for Success”, które ma siedzibę w Katowicach.

Pomagają bezrobotnym kobietom nie tylko w zdobyciu pracy, ale odbudowaniu wiary w siebie i kreowaniu wizerunku. To największa na świecie organizacja non-profit, wspierająca panie spychane na drugi plan na rynku zatrudnienia.

– Opiera się na pomocy, jakiej wolontariuszki udzielają poszukującym pracy – opowiada



ROMAN KOZŁOWSKI

Modelki prezentowały stroje, które mogą dodać pewności siebie każdej pani

Dorota Stasikowska-Woźniak, szefowa stowarzyszenia. – Każda z nich otrzymuje opiekę mentorki, która poświęca jej kilka popołudni w tygodniu. Może skorzystać z pomocy psychologa, fryzjerki, wizażystki, uczy się, jak napisać podanie i rozmawiać z potencjalnym pracodawcą. Trafiające do stowarzyszenia panie często po raz pierwszy od wielu lat odwiedzają fryzjera, robią sobie makijaż, mogą wybrać ubranie, w którym udadzą się na pierwszą rozmowę do wybranego miejsca zatrudnienia. Poddają się tym zabiegom nie tylko po to, żeby poprawić swój wygląd, ale i samopo-

czucie, bo wtedy łatwiej zmagać się z przeciwnościami.

Wolontariuszki z „Dress for Success” spotykają się kilka razy do roku ze swoimi podopiecznymi w danym regionie. Ostatnio zebrały się w grudniu w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach. Mogły tam obejrzeć nie tylko pokaz mody strojów biznesowych i koktajlowych, ale i wysłuchać wykładów na temat profesjonalnej autoprezentacji i komunikacji, a także uczestniczyć w warsztatach z malarstwa, projektowania strojów, dekoratorstwa wnętrz i ogrodów.

Barbara Gruszka-Zych

■ R E K L A M A ■

PORANEK
Ewangelia
z komentarzem
5.50 6.50

eM
radio eM 107.6 FM

PORANEK
Felietony
nie z ambony
7.20